

Przez święta Bożego Narodzenia zacięte walki trwały, wkońcu jednak przeważające siły Moskali zostały złamane.

* * *

Przy wozach z amunicją i prowiantami sierżant Durek stoi, w zadumę wpadł. Mrok ogarnia ziemię, szarówka rozpoczyna się. Wokoło niego krzątają się żołnierze, machinalnie rozkazy im daje. Amunicja, chleb, puszki z konserwami transportują do rowów, aby walczących żołnierzy posilić.

Szarówka.

Niedługo wyjrzy gwiazda na niebo, za nią setki innych rozświetli się nad ziemią.

Wigilijny wieczór.

Zadumany sierżant przy wozie stoi, wsłuchuje się w odgłos straszliwej walki, zdaje się, że pochłonięty cały jest rozdzieleniem amunicji i prowiantu. A jednak...

Od czasu do czasu przez myśl wspomnienie, jak iskierka, przeleci, zatli się na chwilę, przez chwilę światelko da, a potem gaśnie.

Przed oczyma na białym śniegu stół wigilijny mu się jawi, gromadkę dzieci koło stołu oświetlonego widzi, znajome mu twarze... znajome...

Wigilia... wigilia... Bożego Narodzenia.

Ileż radosnych wspomnień przesuwają mu się przez mózg, ileż szczęśliwych chwil...

W zadumę wpadł.

— Hej, sierżant! — wyrzywa go z zadumy głos komendanta. — Cóż to, coś wam, słaby, chory, raniony? Hej?

— Nie... nie...

— He... he... he... tęsknota — śmieje się rubasznie — zre... co...?

— Nie!

— He... he... gadać, bracie, nie. Serca nie wydrzesz, miłości nie spalisz, uczuć nie prędko się pozbędiesz. Hej, chłopcy! — zwrócił się do żołnierzy — Wigilia dzisiaj!

— Wigilia, komendancie! Przydałoby się coś...

— Sierżantowi powiedzcie!

— Jak wigilia, to wigilia — mruknął sierżant — Dobrze, chłopcy, dobrze.

Już ci skrzynia „z delikatnym przysmakiem“, jak ją żołnierze nazywali, otworzona, flaszka z imbirówką krąży, kawałek ryby się znalazł i strucli świeżej. Miast opłatkiem, kęsem chleba się łamią, życząc sobie wszystkiego dobrego, zakończając jak najprędszym zgniczeniem wroga.

— Daj wam Boże, sierżancie, zdrowia i abyście cało przetrwali tę zawieruchę — życzą mu żołnierze.

— Daj Boże wzajem! Daj wam Boże!

Huk armatnich strzałów towarzyszy ich słowom, z rowów strzeleckich słychać czasami cichą melodję kolendy:

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony.

Cichnie kolenda wśród huku dział i karabinów, to znów odzywa się silniej, potężniej:

A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami!

I treniarze nucą pod nosem kolendę. I z nieprzyjacielskich okopów wiatr słowa urywane przynosi — i w groźbie tej wojennej unoszą się słowa pieśni kościelnej, miłość wzajemną nakazując i braterskie się kochanie.

Skulony żołnierz w rowie monotonnym głosem kolendę nuci, wzrokiem szuka poruszającego się nieprzyjaciela, kierując ku niemu lufę karabinu.

Przy trenie wigilijna ucztą.

Miast opłatka łamie się kęs chleba, życzenia szczere z piersi się wydobywają, zapomina się na chwilę o całej groźbie, jaka się wokoło roztacza.

Skrzą się jeszcze gwiazdy na sklepieniu niebios, księżyc bladym światłem oświetla szarą ziemię, gdzieś przystrojona białą szatą. Stojące treny wyglądają z daleka, jak ruiny jakiegoś zamczyska, które rozpadło się w gruzy, mur jeno, wał ochronny pozostał.

— Co to rok temu było — opowiada jeden do drugiego, siedząc na wozach — wieczera, potem kolendy, wesoła zabawa do północy, a potem na pasterkę. He... he... he...

— I teraz pasterka będzie!

— A tak! Już dzwonią! — śmieją się.

— Dzwonią padające pociski!

— Wszystko jedno, ale dzwonią! Prawda, sierżancie?

— Ano tak! Dziś ci dzwonią dzwony, jutro zaś armaty. Niema to, jak żołnierzem być! Co, chłopcy! Prawda? Polskim żołnierzem?!

— A tak, tak, prawda, sierżancie — odpowiadają.

— I Moskale bić!

— Prawda, sierżancie!

— I co? Złe wam?! Szczęśliwi powinniście być, żeście nie w domu, że za Ojczyznę walczyście, a nie w domowych powijkach leżycie. Szczęśliwiście powinni być, szczęśliwi!

— Szczęśliwi jesteście! — odpowiadają.

— A tak, tak... — szepcze sierżant, pochyla nieco głowę i z zadowoleniem patrzy na podwładnych sobie żołnierzy, posłusznych jego rozkazom!

I w nieustannych walkach pozostał pułk Piłsudskiego przez cały grudeń aż do połowy stycznia. Ubyło żołnierzy w szeregach, śmierć, trud i rany pochłonięły wielu, przerzedziły się trochę szeregi, a ci, co od początku pozostali w szeregach, znosząc mężnie ten trud, zahartowali się, zahartowali tak ciało, jak i duszę.

W bezustannych marszach, potyczkach, rzecz można w gigantycznych zapasach pułk przebywał, liczne uznania ze strony komendy wojsk austriackich zdobył, bo też prawdziwie zasłużył sobie na to.

Czyny polskich żołnierzy świadczą o tem i sławę polskiego oręża podnoszą.

Jednak, pomimo strasznych walk i przejść, nawet największe trudy i poświęcenia nigdy nie zachwiały serc dzielnych żołnierzy, owszem, utwierdziły ich ufnością, zaogniły w miłości Ojczyzny.

Z jednej brygady 140 żołnierzy odznaczonych za waleczność. Tu już słów nie potrzeba żadnych.

A serca ich?!

Ostatnie pamiętam chwile, kiedy z nimi byłem i doprawdy, słowa niektórych utkwiły w sercu głęboko.

Nie jeden, chory jeszcze, niewyleczony, nie jeden z rozognioną raną, na wieść, że kompania jego w boju, do raportu ostro stawał:

— Obywatelu lekarzu, zdrow jestem, chciałbym do kompanii iść...

Bada lekarz, wyrokuje:

— Noga nie podgojona, dwa tygodnie trzeba najmniej leżeć!

— Proszę obywatela lekarza, dobrze chodzę już!

— To nic...

— Ale ja chciałem prosić, ażeby mi mógł iść do pułku, tam moja kompania w ogniu.

Albo ci mali ochotnicy. W Bystrzycy zgłasza się do ogłędzin lekarskich 17-letni chłopak, chuderlak słabowity.

Doktor pułkowy B. orzeka:

— Niezdolny!

Chłopak w płacz i dalej zawodzić, że życie sobie odbierze, gdy go nie przyjmą do Legionów.

To są sceny, które głęboko w serce się wkradają i ciągle przed oczami stoją.

W styczniu b. r. z rozkazu naczelnego komendy wojsk austriackich dostał pułk I. zasłużony kilku tygodniowy wypoczynek.

Przyszli strudzeni bojownicy, aby stargane siły skrzepić, do walk nowych się przygotować.

Sześciomiesięczne zapasy z wrogiem zużyły wszystkich, odpoczynek trzeba dać, aby nie stracić napróżno żadnego żołnierza, a do tego, choć młodego, wielce już zasłużonego bojownika.

Z ostatnich chwil dostałem list od druha, który poniżej zamieszczam. List ten, to otwarta dusza polskiego żołnierza, to uczucia, jakie przez sześć miesięcy walkę wyrobić sobie potrafił i zahartował. Miłość Ojczyzny, porachunek z odwiecznym wrogiem — to właściwa myśl żołnierza, która sił do wytrwania im dodaje i w męstwie podsycą.

Bujaków, 21 stycznia 1915.

Kochany Przyjacielu!

Maszerowaliśmy na odpoczynek po krwawej bitwie, z której każdy wyszedł z ciężką żalobą w sercu, zostawiwszy czy to kolegę-towarzysza, czy brata, czy wreszcie dzielnego kolegę z szeregu. Pogoda nam sprzyjała, sucho i dosyć ciepło, jak na zimę. Przymaszerowała nasza brygada, w której naliczyłem tylko jedercastu z tych, którzy wyszli z Podgórza, a było nas coś koło stu czterdziestu.

Jedenastu!...

Resztę pochłonięły trudy, choroby, rany i śmierć!... Zawsze, ilekroć o tem myślę, ile jeszcze ofiar trzeba, by dzieła dokończyć, lęk mnie zbiera, że przecież nas tak mało, że pierwsza lepsza bitwa — a z tego hufca nie pozostaną, jeno strzępy.

Ale trudno!

Otóż tedy maszerujemy. Na czele muzyka gra ślicznie zharmonizowane nasze śpiewki strzeleckie. Legion posuwa się poważnym krokiem, czuć, że to nie po godzinach, ale po uciążliwej wracają pracy; czasem zanuci ktoś piosenkę, inni w lot pochwytywać i kompania bucha pieśnią: „Wędrujemy borem, lasem...“ i t. p. Czasem smętną lwowską pieśń wytoczą i poznajesz duszę maszerujących: „Boże, pozwól mi dożyć chwilę tą, bym Ojczyznę ujrział swą!“

Twarze rumieniają się, gdy zobaczą ludność, witającą nas z entuzjazmem. Słyszysz okrzyki zdumienia:

— Takie to młodziki i wale, a już Ojczyźnie służą!...

Przechodzimy wzdłuż wsi. Na progu chaty stoi kobieta i żalawionem okiem wpatruje się w maszerujących. Szuka swego syna. Małą ma nadzieję, bo jej opowiedziano, że dużo żołnierzy padło, a tu nagle z szeregów okrzyk:

— Matusiu! Matusiu, jestem!

I biegnie szesnastoletni chłopiec, ryszunek gniecie go do ziemi, ale widać daje mu radę, skoro w ataku go nie rzucił. Tęsknem okiem spogląda na swoją chatę, przytuliwszy się do piersi matczynych. Łzami zrosiło się lice lubej matuchny, pocałunkami osusza je.

— Nie bój się, matulu! — szepcze — Nie bój się! Wrócę ja do was, wrócę.

Nam również łąza w oku świeci. Oto chłopię młodzienie poszło, by bronić przed wrogiem swą Ojczyznę.

Cześć ci, matko, że takiego syna wychowałaś i że nie pożałowałaś jedynej ośrody starości dla świętej sprawy.

Dalej widać całą rodzinę żydowską w odświętnych strojach. I oni wyszli przed chatę, by powitać syna, brata. Ojciec z dumą spogląda po synach, zda się mówić:

— Jestem żyd, ale syn mój walczy z wami, o wolność dla nas!

Z trudem powstrzymuje się od rzewności, by nie zarzucono, że mu żal. Całując syna w czoło, westchnął głęboko, wznosił oczy do nieba i dumnie po nas spojrzał, tłumaczył potem starej matce, co to za wojsko jest, gdzie jej wnuk służy.

Z Bogiem idźcie — żegna nas — a wróćcie szczęśliwie!

Takich serc jest dużo i w ciągu marszu człowiek powoli zaczyna marzyć o swoich w domu. Przypominają się słowa: „Boże, pozwól mi dożyć chwilę tą, bym Ojczyznę ujrział swą!“

Koniec drogi!...

Kęty się wysuwają, widać cel marszu. Zapowiedziano defiladę brygady. Czoło kolumny dosięga rynku, koniec jeszcze hen... za miastem, dalej tabory, kuchnie polowe. Zbliżamy się. Dochodzą nas dźwięki orkiestry: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Serce rośnie, krew jakoś żywiej wre, zmęczone szeregi prostują się, nogi lżej niosą.

— Defilada w lewo — pada komenda, błyskają szable, szeregi wyprężają się równiutko. W takt muzyki przechodzimy koło naczelnika Piłsudskiego, który na koniu, przybrany w czerwone kwiatki, salutuje wraz z całym sztabem. Ceni męstwo wojowników, bo twarz jego poważnie i miłośniczo spogląda na te jego dziatki z pod Limanowy, Łowczówka i t. d. i t. d.

— Kompania!... w lewo... front!

Zdumiewamy się nad sprawnością, z jaką wykonujemy zwroty. Jak strzelił — równa się kolumna, staje nieruchomo.

O! Gdybyście widzieli, z pewnością niejednemu przysniłaby się wojaczka. Zostajemy otoczeni kordonem miłych twarzątek. Panie, panienki, panieneczki obdarowują nas papierosami, cukierkami, bułeczkami etc.

— Może pan obywatel pozwoli, proszę coś szkodzić!

— Prose, panie ścielec, wziąć cekuladkę od mamusi — zachęca sześciolatnia córeczka.

Tu i ówdzie panie dekorują naszych kwiatami.

— Bacność — pada komenda — kolumna czwórkowa w prawo! Czwórki w prawo zwrot!... Kolumna... marsz!...

Odchodzimy do Bujakowa na kwaterę.

Okolica piękna, ludzie, aczkolwiek dość zamożni, cierpią wskutek wojny. Ja mam kwaterę bardzo dobrą, ciepło jest i czysto, jest gdzie sięść, urządzić kancelaryę etc. Tylko, że mi tęskno za domem, za dziećmi, to też, ilekroć list jaki dostaje, po kilka razy go odczytuję.

Serdeczne pozdrowienie, uścisk dłoni... pa...

Durek Franciszek
sierżant rachunk.

I. brygada, V. batalion, I. komp.

Jedenastu!

A on... dwunasty...

